Ner 11. Kraków, 17go Marca. 1863.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie. 5 » 10 » » »
Kwartalnie. 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 50 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Katarzyna Medycejska,

królowa francuska, matka Henryka Walezego króla polskiego.

(Dokończenie.)

Królowa Katarzyna dowiodła, że umie być czynną nawet po zdarzeniach, które przejmują zgrozą wszystkie serca i wprawiają je w otrętwiałość.

Do różnych mocarstw słała pisania, szczycąc się przed katolickiemi z tego, co dokonała podczas szatańskiego wesela; zaś mocarstwom protestanckim dawała znać, że ani zamierzała uczynić co złego, ani uczyniła w jakikolwiek sposób.

Nadto, w tej właśnie porze postarała się o tron dla trzeciorodnego swego syna — o tron, oczywiście nie zbyt miły samowładcom; ale postarała się dla syna o tron najszczególniejszy w Europie i na świecie, bo na tym tronie zasiadał pierwszy między równymi.

Myśl, obrania Henryka Walezego królem polskim, miał pierwszy rzucić, jeszcze przed śmiercią króla Zygmunta Augusta, karzeł Kraszowski, Polak na dworze francuzkim od dawna osiadły i będący w łaskach u królowej Katarzyny. Ale niezawodna zasługa, przyprowadzania elekcyi wymienionego króla do skutku, należy się posłowi francuskiemu Montluc-owi, biskupowi Walencyi, który umiał dopiąć zamiaru swego dworu pomimo, że wieść o nocy św. Bartłomieja doszła do Polski, gdzie nikt nie miał skłonności do prześladowań kogobądź za przekonania jego, a gdzie było wielu gorliwie obstających za wolnością sumienia.

Po odbytej elekcyi 17 maja 1573 r. wysłano posłów ze strony rzeczypospolitej do dworu francuskiego, a mianowicie do nowo obranego króla.

Tych wymieniamy: Konarski, biskup poznański, Wojciech Łaski, Jan Tomicki, Jan Tenczyński, Jan Herburt, Stanisław Krzycki, Mikołaj Radziwiłł, (Sierotka), Jan Zamojski, Mikołaj Firlej, Jan Zborowski, Mikołaj Tomicki, Alexander Proński. Wybrała się też za posłami wielka liczba polskiej szlachty. Dnia 18 sierpnia 1573 r. wjechali posłowie nasi, przy niezmiernym nacisku ludu, uroczyście do Paryża w 50ciu karetach poczwórnych, przy asystencyi 200 konnej szlachty polskiej i tyleż francuskiej. Nietylko przepychowi poselstwa naszego, ale i nauce wielu naszych ziomków, po owe czasy rzadkiej, Paryż nie mało się dziwił.

Po odbytych wszystkich formalnościach, gdy nowemu królowi nic już nie przeszkadzało udać się do Polski, on... będąc pod wpływem królowej matki, która nie bardzo rada była z nim się rozłączyć, coraz nowe wynachodził powody przewłoki. Nakoniec, po długiej podróży, d. 17 lutego 1574 odbył Walezy do Krakowa wjazd swój uroczysty wśród bardzo licznego natłoku ludzi. Ale, doznawszy u nas w krótkim przeciągu czasu, nie mało niesmaków i nam ich nie mniej swojem postępowaniem i nieszczerością sprawiwszy, a do tego odebrawszy od królowej matki wiadomość o śmierci brata swego Karola IX, po upływie 4ch miesięcy, wyniósł się potajemnie z Krakowa, dla objęcia tronu francuskiego, jak gdyby go fatalność gnała, doczekania się koniecznego na nim śmierci z ręki skrytobójczej, od której mógł być najbezpieczniejszym pomiędzy Sarmatami.

Po zawarciu pokoju religijnego 1573, rozpościerająca się samowolność królowej Katarzyny i jej sprzymierzeńców, Gwizeuszów, oburzyła nawet umiarkowańszych katolików, którzy stanowili partyą tak zwanych polityków, na których czele stał czwarty syn królowej, książę alensoński. Ta partya połączyła się tedy z protestantami. Gdy Karol IX, 1574 r. żywota swego dokonał, wspomniony książę powziął myśl pozbycia się matki i Gwizeuszów, czem się śpiesznie wyprawiona wiadomość przez Katarzynę do Krakowa, i nagły powrót króla Henryka do Paryża... tłumaczy. Nim się to jednakże stało, udało się królowej raz jeszcze, chociaż nie bez wielkiej trudności, pochwycić rządy państwa; zaś Henryka IIIgo, gdy już zasiadł na francuskim tronie, łatwo jej było namówić do odnowienia nieszczesnej i haniebnej domowej wojny, a samej stać się kierownicą i ogniskiem wszystkich niegodziwych knowań, zamachów i układów. Dotykała ona po kolei zdradą to ligę i Gwizeuszów,

to protestantów i Henryka nawarrańskiego, zaczem przyjść musiało do tego, że ją i jej syna, króla Henryka IIIgo, wszyscy opuścili i wszyscy niemi obojgiem pogardzili.

Wiodła Katarzyna żywot pełen wytężeń i zbrodni a przecież... aż do późnej starości nie upadała na siłach, które w niej nakoniec zwątlały jedynie ztąd, że się bezwładną ujrzała. Zdaje się, że na zamordowanie Gwizeuszów nie wpływała: bo gdy jej Henryk III doniósł o tym krwawym czynie i rzekł: „królowo pani (Madame) teraz jam królem“ nie mogła zataić obawy, chociaż nie żałowała tego, co się stało. Wśród wrzawy i rozruchów partyj przeciwnych, umarła w Blois 5 stycznia 1589, a więc w lat 16 po obiorze Henryka na tron polski.

Zapewne wówczas Opatrzność najwyższa jeszcze nie zupełnie była na nas zagniewaną, kiedy nie dopuściła, aby słaby i bez zasad uczciwości Henryk panował u nas lat 16 pod wpływami najprzewrotniejszej a w sprawach politycznych tyle biegłej swej matki-królowej. Zapewne chciała Opatrzność, abyśmy stały ład na długie wieki u nas zaprowadzili, gdy w owym właśnie czasie, w którym Walezy wichrzyćby jedynie był umiał u nas, jak wichrzył w swojej ojczyźnie, dozwoliła nam mieć królem Stefana, bohatyra i polityka nienaganionego — ależ my... niestety! z dzielności Batorego dla dobra ojczyzny naszej korzystać czy nie umieli, czy prędzej nie chcieli, bo przecież wiek ów był jeszcze u nas wiekiem oświaty, wiekiem złotym dla nauk i piśmiennictwa, a wolność nie była tak nową rzeczą dla nas, aby nadużywających jej mógł nas ktokolwiek uniewinnić.

Kończąc o Katarzynie medycejskiej, scharakteryzujemy ją jednem słowem, gdy powiemy, że nieograniczona chęć władzy i panowania była jej główną i jedyną słabością, z której wynikało wszystko złe, co zrobiła i spowodowała. Wada samowolności u niewiasty prywatnej zakłóca pokój domu i szczęście rodziny; ta sama wada u niewiasty, będącej na widowni świata, tem bardziej u steru rządu... wichrzy państwami, cofa naród lub narody w rozwoju naturalnym czasem na długie wieki, jeżeli Opatrzność sama wpływów jej zgubnych zniszczyć a biegu rzeczy na zbawienną nie raczy drogę zwrócić.

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

I.

Czyste i fałszywe akorda.

Pokój obszerny słabo oświetlony lampą starożytnego kształtu, przyćmioną jeszcze obsłoną barwy szarawej i niepewnej, o dziwacznych arabeskach, które się odbijają fantastycznemi kształtami na małym okrągłym stoliku trójnożnym, i po białych mozajkowanych ścianach niepewne rozścielały cienie. W pokoju panował artystyczny nieład, i całe jego przystrojenie miało pełen urok prawdziwie artystyczny, bo w barwach i kształtach wszystkich sprzętów była ta piękna harmonia, której nie nada przepych i zbytek bogacza, ale tak łatwo z najmniejszych drobnostek utworzyć potrafi uczucie estetyczne wyższego umysłu. Jedyną mniej może harmonijną sprzecznością, było dziwne dosyć połączenie w całości pokojowego przystrojenia charakteru artystycznego i niewieściego. Obok wyraźnych niejako rysów męzkiego artyzmu, były szczegóły więcej niewieściemu smakowi i niewieścim przyzwyczajeniom właściwe.

Jakoż w rzeczy samej, całe pokoju przystrojenie znamionowało pracownię rzeźbiarską, a barwy sprzętów i ubranie rozmaitych ładnych drobnostek zdradzały ulubiony buduarowy przybytek młodej kobiety. Tak było w istocie, jedyną bowiem tego pokoju mieszkanką samotną była kobieta, siedząca przed tym okrągłym uarabeskowanym stolikiem. I że sama była artystką, zajmującą się rzadko przez niewiasty pielęgnowaną sztuką rzeźbiarstwa, świadczyły wiszące na ścianie do pół wykończone medaliony, i stojące w kącie na podstawie starożytnego kształtu popiersia jakieś zaledwie rozpoczęte.

Że siedząca przy stoliku była artystką całem sercem i całą myślą, to świadczyła jej powierzchowność cała, mimowolnie rozbudzająca głębsze zastanowienie w patrzącym. Że rzeźbiarką była, możnaby nawet zgadnąć, choćby po tem uczesaniu ciemnych włosów we dwa wielkie sploty, cudnie odbijające od białego i wzniosłego czoła, które jej nadawało życie, podobieństwo do prawdziwego, regularnemi i cudnie pięknemi konturami odznaczonego antyku. Siedząca w pokoju, przy tem mieniącem się oświetleniu dziwnie była podobną do jakiejś kamei starożytnej, gdzieś z starych gruzów rzymskich wykopanej.

Dziwny, promienisty urok padał od tej twarzy pełnej życia i młodości, której rysy dla surowego znawcy może nie były bez zarzutu wzięte z osobna, ale całość tworzyły pełną harmonii. To była wyższa harmonia myśli i czucia, które zdało się przemawiać z białego, wysokiego i trochę wypukłego czoła, a przedewszystkiem blaskiem uroczym dobywały się z oczu ciemnych. Oczy te przy oświetleniu czarne prawie, mają wszakże ten rzadki i pełen powabu połysk zmienny, że się nie raz przy jasnem dnia oświetleniu, jasnemi prawie wydadzą. W zgodzie z piękną całością były brwi ciemne, wyraźne i z wielkim wdziękiem odznaczone, dwoma łukami regularnemi jeszcze ładniej odbijające od białego czoła i tej płci na twarzy gorącej przeźroczystej, ciemniejącej czasem pod napły-

wem krwi żywym strumieniem od serca bijącej, i w zgodzie było zaokrąglenie miękkie twarzy; i nosek przeciągły nieco lekko w końcu zadarty i te usteczka małe rumiane z pewną rozkoszną pustotą wydane naprzód, i mile uśmiechnięte.

Ten uśmiech koło ust był właśnie wyrazem, największy wdzięk rozlewającym na twarz całą. Blask oczu i uśmiech na twarzy zdawały się dobywać prosto z serca i tworzyły ten sympatyczny urok, którym niektóre kobiety odznaczają się tak przeważnie, że mu podlegać będą tacy nawet, którzy im nie przyznają piękności bezwarunkowej.

O takich kobietach mówią zwykle, że są bardzo szczęśliwe, bo wzbudzają silne uczucia i bywają od wszystkich i mocno kochane. Lecz czy są w rzeczy samej szczęśliwe, pozwoliłbym sobie wątpić, bo ta sympatyczność, wiążąca do nich, idzie prosto z serca. Sercem zwyciężają, sercem panują, i sercem cierpią i boleją!..

Siedziała przy stoliku w pewnem zamyśleniu, trzymając w ręku biały gipsowy medalion, przedstawiający młodego i przystojnego mężczyznę. Tuż koło niej leżała miniatura, z którą widocznie porównywała medalion w ręku trzymany. Po twarzy rozbiegł się wyraz smutnej rzewności, usta rozwarły się do lekkiego westchnienia, i mimowolnie myśli jej ułożyły się w słowa, któremi zamyślona przemówiła:

— Nie to samo!.. Tam jak pełen życia!.. tak, przemawia do mnie, jak przemawiał dawniej... Tu jakże zmieniony!. martwy!.. biały jak marmur, i jak marmur zimny!.. już nie przemawia do mnie!..

— Czy on tak wyszedł z rąk moich? dodała po chwili i odrzuciła od siebie biały medalion!.. O nie!.. to zimni ludzie takim go zrobili.

— Jam go tak kochała!.. i kocham!.. rzekła pó chwili z serdecznym i szczerym przyciskiem. Znać od razu, że to z jej serca ozwał się akord najczyściejszy. A głos jej był pełen harmonii tak wyrazistej a zarazem pieszczotnej, że jak z serca pochodził, tak się też i do serca wdzierał.

Zamilkła, a oczy rzuciła pzed siebie, jakby niemi po tych arabeskowych cieniach na ścianie śledzić co chciała w oddali— przeszłość, czy przyszłość?..

Z drugiego pokoju ozwał się zegar bijący godzinę.

— Już dziewiąta!. zaraz przyjdzie!.. rzekła z wcale odmiennym wyrazem.

— Przyjdzie!.. dodała z westchnieniem; ale nie on!

I zerwała się z pewnym niesmakiem. Średniego była wzrostu; kibić jej była kształtną choć pełną, co niekoniecznie harmoniowało z twarzą, bo gdy tej wyraz nosił na sobie piętno myśli i uczucia, postać jej miała coś zmysłowego w tych kształtach okrągłych, pełnych powabu.

Spiesząc się schowała miniaturę, medalion zawiesiła na ścianie, i usiadła w fotelu w kącie stojącym opodal nieco od lampy.

Po krótkiej chwili wszedł mężczyzna nie wielkiego także wzrostu, młody jeszcze z twarzą przystojną, o wyrazie poczciwym, miękkim nieco, nie zdradzającym wcale wyższej czy głębszej myśli jakiej.

— Madelino!.. ozwał się z czułym przyciskiem; cały dzień cię nie widziałem.

Na widok wchodzącego, rzeźbiarka zerwała się, i z uśmiechem widocznie wymuszonym szła naprzeciw niemu, podając rękę do przywitania. Lecz po pierwszych słowach cofnęła rękę, i na twarz wystąpił nowy wyraz, którym zbrzydła ta twarz, przed chwilą tak piękna urokiem uczuciowym. Bo na ustach pojawił się uśmiech jakiejś lekkiej i bezmyślnej pustoty, a z oczów strzelił wyraz zalotności zdolnej może silniej jeszcze pociągnąć i oczarować— pięknością ciała nie pięknością duszy.

— Panie Auguście! ozwała się do niego głosem także zmienionym, bo na pół pustym i żartobliwym na pół zalotnym i wyzywającym. Już się nie raz gniewałem za tę poufałość... Madelino!. Madelino!.. Zkądże ja do tego przychodzę?

Pan August uśmiechnął się, bo znał zapewne doskonale chwilowe kaprysiki pięknej Madeliny.

— A przepraszam!.. panno Madelino!.. proszę mi dać rękę na przebaczenie..

— Nie dam!.. ja nie lubię takiej poufałości!.. rzekła, tupiąc śliczną i małą nóżką.

— Ależ!.. przerwał Adolf, i grożąc a śmiejąc się, wskazał na mały pierścioneczek złoty, który Madelina miała na palcu.

— Zaręczeni!.. to nie małżonkowie jeszcze...

— Ale będą niemi...

— Wielkie pytanie!.. pan się mi coraz mniej podoba!.. my nie dla siebie stworzeni!. o nie!.. dodała, i przez chwilę w tych dwóch słowach ostatnich odbił się w jej głosie ten sam szczery i serdeczny oddźwięk co dawniej.

Przez twarz Augusta przemknął wyraz cierpienia, choć się jeszcze usta uśmiechały tym samym wyrazem czułego niby żartu. Snać pod tą pozorną powłoką żartu, śmiechu i wesołości, ukrywa się cięższa i tragiczniejsza myśl. O mój Boże!.. ile to na dzień takich myśli ciężkich przemknie wśród śmiechu towarzyskiego, i obojętny nie zrozumie nawet, że po za maską wesołości, odgrywa się bolesny nieraz dramat życia.

I żartowali dalej oboje młodzi narzeczeni, sprzeczając się niby dla pustoty... a ktoby wejrzał do jednego i drugiego serca, przestraszyłby się może.

— O ja wiem!.. co panna Madelina myślisz!..

— Cóż ja myślę?.. zapytała i w oczach przez króciutką chwilę zapaliła się iskra gniewu.

— Gdyby to nie ja!.. przemówił znowu August, i badawcze na nią rzucił spojrzenie.

Smutny to być musiał między niemi stosunek, gdy takie krzyżować się mogły spojrzenia.

— Czemuż nie powiesz, panie Auguście, ostatniej myśli swojej?. czemu nie powiesz— gdyby to on!..

— Panna Madelina chce się kłócić ze mną?..

— Bo pan jesteś nieznośny!.. pan nigdy nie umiesz przeczuć, kiedy ja jestem cierpiąca, rozdrażniona!.. ja pana kiedy wypędzę, bo mnie pan nudzisz!..

— Cóż pani jest takiego?..

— Niewiem... ale tu mi w sercu ciężko... jakby przeczucie jakie... jestem smutna... znudzona!..

— Bo mnie nie kochasz!.

— A nie kocham!.. odrzekła i zaśmiała się.

Ile w tym śmiechu było szyderstwa, a ile pustoty, tego biedny narzeczony nie zrozumiał pewnie.

I znowu dalej ciągnęła się ta sprzeczka narzeczonych, na poły prawdziwa, na poły udana. W tej kłótni były chwile przestanku, i białą rączkę pozwolono ucałować narzeczonemu. I nowy bój zawrzał o lada słówko, bój kapryśny ze strony Madeliny, raniący boleśnie biednego Augusta.

— Więc tylko jego kochałaś?..

— Kochałam!.. przerwała szyderczo.

— I kochasz jeszcze?..

Madelina zacisnęła usta, by nic nie odpowiedzieć, ale wzrok jej pobiegł ku ścianie, na której wisiał medalion, i do szufladki, gdzie zchowana leżała miniatura. Wzrok ten wymowniej od słów wytłumaczyłby pilnemu serc badaczowi, jak ogromna przepaść dzieli te dwa jej uczucia: uczucie, co tam już w przeszłości spoczywa, i uczucie to drugie w przyszłość dopiero skierowane, uczucie dla narzeczonego.

— Na co takie pytania!.. ozwała się wreszcie. Na co przeszłości dotykać. znasz mnie przecie Auguście!.

I znowu pusta, znowu wesoła dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem tak ognistym zalotnością swą, że by nim umierającego pobudzić jeszcze mogła, choćby do jednego ziemskiego westchnienia.

— Mnie pana żal!.. szczebiotała dalej słodko i pieszczotnie — dobry jesteś Auguście..

— Więc mnie kochasz?..

— Co za pytanie śmiałe.

— Kochasz choć trocha?.. błagał tak pokornie, i ukląkł, i ręce ściskał i całował.

Drożyła się śliczna i pusta zalotnica; kłuciła jeszcze, kłóciła z narzeczonym, kłóciła mocniej podobno z własnem sercem, niby żartem, niby serio, z pół uśmiechem i pół westchnieniem, nachyliła się do klęczącego.

— Chcesz koniecznie tego słowa tylekroć poniewieranego.

— Błagam o nie!..

— Kocham!.. rzekła.

Uszczęśliwiony nie usłyszał westchnienia i wzroku, które pewnie nie ku niemu poleciały.

— Kocham! szepnęła jeszcze.

Głos jej, gdy to mówiła, był jeszcze dźwięczniejszy, jeszcze pieszczotniejszy, niż gdy sama przed sobą te słowa wymawiała; a przecież nie było tej szczerej co pierwej serdeczności. To nie był czysty akord serca; to był akord fałszywy.

W tej chwili wbiegła służąca z łoskotem...

— Ach pani!.. zakrzyknęła, załamując ręce.

— Cóż się stało?..

— Pan kapitan umiera...

— Nie może być!.. krzyknęła Madelina najczystszym akordem poczciwego współczucia. Mój biedny kapitan!.. cóż mu takiego?..

— Służący jego przybiegł i powiedział mi tylko, że pan nagle zachorował, i umiera.. a co chwila panią wspomina...

— Mnie?.. poczciwy!. kochany kapitan... i łzami napełniły się piękne oczy Madeliny.

— I woła ciągle panią po imieniu... powtarzając: „raz jeszcze ją widzieć!.. raz ostatni!..

— Podaj mi zarzutkę; ja idę do niego...

— Zastanów się pani!.. do mężczyzny?.. przemówił August, przybierając minę surową, która mu wcale do twarzy nie była.

— Jabym go nie miała odwiedzić!.. kiedy mnie wzywa... umierający... on tak dobry dla mnie...

— Ależ pani wiesz, że ludzie mówili...

— Głupcy mówili!.. i pan chcesz do nich należyć. Mówili, że mnie kochał... człowiek już nie młody.

— Alboż się nie kochał, panno Madelino? powiedz sama.

— Kochał!.. wiem, że kocha mnie... wiem to najlepiej... ale czy mi choć raz to powiedział... on tylko miał dla mnie przywiązanie gotowe do wszystkich poświęceń!.. otaczał mnie starannością taką!.. onby chętnie był mi ojcem...

— Wątpię bardzo... to pewna, że wszyscy się dorozumiewali...

— Pan jesteś śmieszny i nieznośny z swoją zazdrością. Ja wiem najlepiej że mnie kocha!.. i jak kocha... wy takiej miłości do wszelkich ofiar gotowej nie rozumiecie... żaden z was kochać tak nie potrafi jak ten stary!.. jak wy go nazywacie... dawaj zarzutkę prędzej!.. ja idę...

— Ja panią proszę!..

— Mój panie!.. bez rad i uwag!.. Ja jestem wolna... pani siebie samej!.. tyle przynajmniej korzyści dało mi życie artysty... jeszcze do pana nie należę... Idę do niego... mnie serce pęka z żalu na myśl, że może go już nie zobaczę!..

— Ale!..

— Jeszcze jedno słowo!.. a znienawidzę pana...

I rzuciwszy zarzutkę na siebie, zawoławszy służącą za sobą, wybiegła na ciemną ulicę.

Pan August popatrzył na nią z wyrazem dziwnie pomięszanym, i spuściwszy głowę, poskrobał się w nią biedak.

(C. d. n.)

Symfonia życia.

(*Ciąg dalszy.*)

Najłagodniejszy wiew razi jej uszy...
Gdy się brzoskwinia za oknem poruszy...
Niemal... że czuje,
Jak pająk sieć snuje...
A gdy pierścieniem piersiąt swych złączy
Kochanie, w które.. to swe życie sączy,
O! jak go w ciemię serdecznie całuje.

A umysł dziecka, jak w maju... nadranna
Druga godzina... wpółciemna, wpółszklanna —
Gdy z pod powieki
Rój marzeń lekki
Przez snu kotary, muślinu siatki,
Chowa się w kropki, wygląda z za kratki,
I ścieka, jak pod bzem przybrzeżnym, nurt rzeki.

Jaki w poddaszu szmer, gdy deszcz rosi,
Gdzieś go dochodzi szum ziemskiej osi —
Kto poświęcony,
Błogosławiony,
Boga — przyrody ten słyszy słowa....
Lecz gdzież ta pamięć co ich dochowa?
Lecz gdzież ten język, dla nas stracony?

Nieraz (o! jak ten śmiertelny szczęśliwy!)
Uwidzi w górze niebieskie niwy...
Wtem zlecą wrota,
I jasność złota,
Jak błyskawica, w błękitach zgaśnie:
Dziecię zdrażnione przez sen zawrzaśnie,
A gdy się obudzi, to płacze nieboże.

Matka je tuli, siostrzyczka bawi;
Że osłabione, każde z nich prawi;
Ale tajemne,
Ukryte, ciemne
Są pierwsze ludzkie nietknięte drogi,
Nim na ten padół kto stawi nogi,
I nim odpowie na czucia wzajemne.

Odtąd języczek wybija głoski;
Odtąd się lniane rozchodzą włoski,
Jak młode trawki —
Odtąd zabawki:
Koniki, lalki, pałasz, bębenki —
Od niańki umyka swawolnik maleńki,
Kryje się za drzwi, za stołki, za szafki.

Jeśli przy zdrowiu wbiegnie w rok szósty —
To umysł jego jaki cel pusty —
O ósmej porannej,
W dzień czysto-szklanny,
Gdy słońce ukosem spogląda na łąki,
A myśli pszczółki na koniczą, na dzwonki
Gdzieś się wieszają z szumem fontanny...

Ul opuszczony w pasiece zamkniętej —
W koło płot żywy—łozowe pręty,—
Chmiel go się chwyta;
A ogród okwita.
Z wiszni, czereszni, gruszy, jabłoni
Wiosna kwiat biało-różany roni,
Jak po weselu panna-kobieta.

Poezyo młodości! ty od powicia
Zielenisz się bujną latoroślą życia,
Twe kwiecie wspaniałe,
Choć śliczne—nietrwałe.
Kwiat wyobraźni wiosennej opada..
Piękny a nikły — lecz zapowiada
Kiedyś... w jesieni owoce nie małe.

Szczęście, gdy upał go nie dosięże,
Jeśli pod siłą wiatru nie lęże —
Jeśli się z liści
Owad wyczyści,
Bo gąsienica: *fantazya za młodu*,
Nim barwnym motylem uleci z ogrodu
Kwiat niszczy— liść trawi i plonu nie ziści....

Rok siódmy i ósmy, dziewiąty uchodzi,
Jak ziemia od szybko bieżącej łodzi,
Wyspy zielone
W tę, w ową stronę
Biegną po wodach i ...w gładkie szyby...
Kąpiąc się, toną za nami niby;
A wszystko najcieńszą mgłą powleczone.

W pomniejszające ciemne zwierciadła
Duch chce pozbierać te różne widziadła.
Świat dziecka ludny,
W poezyą cudny,
Obfity w baje, zagadki, powieści
Smutnej, wesołej, mistycznej treści —
Wszystko to skreślić— zawód zbyt żmudny!..

Na co to matka u bramy czeka?
Wszak południowa dokucza spieka!
W ulice długie
Szle sługę za sługą;
Jakże biedaczce na sercu cięży —
Syn nie przychodzi, gdzieś czas mitręży,
A już wskazuje zegar na drugę.

Ach! przecież idzie chłopiec niesforny...
Spocony, zdyszany— chłopiec uporny;

Mów mu — nie słucha;
Co mu tam skrucha? —
Tylko filutne w bok wiedzie oczy,
Bawi się z kotkiem lub pieska droczy —
Ależ u młodych uchodzi za zucha.

Wszystko mu teraz niczem jest zgoła.
Ledwie że zajrzy raz do kościoła
W niedzielę, święto,
Strojno, opięto —
Ołtarz pomija, a zerka w ławki
Jak malec w sklepie, gdzie za szkłem zabawki,
Uczarowany lalek ponętą.

Takie to teraz polubił lalki!
Wcale nabożny... bo same— Westalki!
Nieraz, gdy cwałem
Jedzie z zapałem
Po kamieniach... w zielone żaluzie
Patrzy może tam milutkie buzie,
Nieborak pędzi — za ideałem?

Ach! już go prosi wachlarzem z balkonu
Dama podeszła, pragnąca zakonu;
Młody, namiętny,
Natychmiast chętny —
Konia zatoczy — drżący zeskoczy,
I w ustach i w łonie opity tonie,
Ach!— tonie jak róża we szklance mętnej.

Ej! dajcie pozór, bo wnet wam pohula
Za swą królową rój cały het z ula.
Trza go wytropić,
Łzami pokropić.
Rodzice stroskani, co wy cierpicie!
Wasze mozolnie hodowane dziecię
Chce się samopas w obłędzie utopić.

Gorzko namiętność nieczysta się spłaci —
Siły się cięczą, uczucie się traci:
W głowie, jak w turmie
Oczy, gdy po szturmie
Wyłomy sterczą z okopów i wałów,
Zkąd wódz niegdyś tysiące słał postrzałów
Przy pieśni wojennej i tryumfu surmie.

Lecz jeszcze wygrana gdy w czas się oderwie,
Gdy po samotnej, długiej, cierpkiej przerwie
W zmieszanym tłumie
Rozpoznać umie
Z prawą dobrocią cnego przyjaciela,
Co go pociesza, co mu rad udziela
I statek wiedzie przy silnym rozumie.

Takie to czyste najpiękniejsze śluby
Szczerej przyjaźni, co nie zna rachuby,
Nie bieży za zyskiem,
Kruszcowym błyskiem, —
Gdzie wspólną ideą i harmonijną
Do stoku prawdy i poznania płyną
Spojone serca — braterskim uściskiem.

Młodzież przyjaźna — bo przyjaźń młoda,
A nieskończona, jak niebios pogoda...
W jednej tęsknocie
Ku dobru, ku cnocie,
Ku bóstwu, ludzkości; świat cały ogarnie
Swemi ramiony. O! i na męczarnie,
Na stos iść gotowa w niewinnej prostocie.

Biedne ofiary! — Nie jeden młodzieniec,
Co śmiało sięgał po męczeński wieniec,
W nadgrodę trudu
Zapomnian od ludu,
Lub od motłochu na urągowisko
Żółć, ocet pije, ma INRI nazwisko
Jak Chrystus, Wolności Bóg-oblubieniec.

(*Dok. nast.*)

Po sześciu latach.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

Tłumiony, o rozpacz graniczący żal zmienił się w ciężką chorobę, która, powaliwszy Stasia na łoże, dopiero po trzech miesiącach pozwoliła mu odetchnąć świeżem powietrzem i napoić spragnione światła Bożego oczy czystym nieba lazurem. Zimę przeleżał, — toć uśmiechnął się do wiosny, jak dziecię uśmiecha się do kochającej matki, która je, snem nocnym jeszcze rozmarzone, z łóżeczka podnosi i w ramionach tuli.

Pierwszy żal, najgwałtowniejszy, minął i ustąpił miejsca smutkowi, podnoszącemu każde szlachetne serce. Smutek ten wypięknił i do mężkości podniósł rysy Stasia. Twarz jego — jeszcze przed kilku miesiącami świeżutka, młodziutka, dziecinna prawie, okraszona rumieńcem, teraz pobladła,— okrągłość przeciągnęła się, a oczy wypukłe i żywe cofnęły się w głąb swoich posad, i świeciły z pod gęstych brwi melancholicznem, smutnem spojrzeniem.

Poczciwy paroch miał przez cały czas słabości jak najgorliwsze o Stasiu staranie—tylko obowiązek zdołał go jedynie od łóżka chorego odciągnąć. Gdy Staś już zupełnie wyzdrowiał, należało mu oznajmić wolę ojca. Wprawdzie stary Cyryl nie jasno się tłumaczył, ale paroch odgadł jego wolę. Jedno tylko martwiło poczciwego księdza, jak tu powiedzieć biednemu chłopcu: idź, szukaj Maryni, — czyż sobie nie może pomyślić, że ksiądz chce się jego biedaka, nie mającego nigdzie

na razie przytułku, z domu pozbyć. Jak tu powiedzieć biedakowi, że z tą Marynią, która rozbudziła w sercu chłopaka nie... miłość brata do siostry, ale gwałtowniejsze i silniejsze uczucie — jest połączony bliskiemi krwi związkami.

Bo, że Staś kochał Marynię, nie podlegało żadnej wątpliwości. Zdaje się nawet, że Cyryl, spostrzegłszy budzące się uczucie w sercach dzieci, miał przy innych i ten także powód do oddania Maryni w obce ręce.

Lecz to nic nie pomogło. Staś, pokochawszy Marynię dzieckiem, kochał ją i teraz. Z początku było to uczucie, z którego sobie nie umiał zdać sprawy, rozpierało mu piersi, robiło go szczęśliwym, ale nie umiał go nazwać. Dopiero po odjeździe Maryni i z czasem... tęsknota za towarzyszką lat dziecinnych, długie samotnie spędzane godziny, wytłumaczyły mu to uczucie. Nazwał je miłością....

Było to w końcu maja. Na ławeczce, przed skromnym domkiem proboszcza siedział Staś, z głową oparta o słupek gankowy. Oczy wlepione w przeciwległą górę błąkały się po drużynce wąskiej, w szeroki świat prowadzącej. On tego świata nie znał, to też zdawało się, że chce przebić wysoką górę wzrokiem i pędzić, nim po tej drodze, po której przed półszosta roku uniósł powóz drogą mu istotę. Wspomniał sobie chwilę pożegnania, dłoń go zapiekła gorącem rączki Maryni, a zdawało mu się, że łza owa jeszcze nie zaschła... Była to chwila urocza, chwila szczęścia... ujrzał przed sobą dziewczynkę podobną do aniołka, z tobołeczkiem w ręku, ze łzą w oku... a w uszach zatętniły mu pożegnalne słowa:

— Niezapomnij i o mnie;

— Niezapomnę nigdy—a łzy w niebieskich oczach Maryni odbiły się tęczą w jego oczach.

— Maryniu — mówiłaś zawsze, że mnie kochasz— szeptając z rzewnością mówił do siebie.

— Kocham — zadrżały usta Maryni.

— I będziesz zawsze kochała?

— Zawsze!

— I nie zapomnisz nigdy?

— Nigdy!

Uścisk—uścisk serdeczny... turkot powozu odbił się boleśnie w sercu Stasia. Chciał gonić za powozem. Zerwał się. Przed nim stał paroch z rękami na krzyż założonemi. Paroch pojął doskonale stan duszy biedaka. Poznał, że teraz była właściwa pora oznajmić mu wolę ojcowską. Co do oświecenia Stasia względem kuzynowstwa z Marynią, namyślił się, że niekoniecznie teraz wyjawiać, boć w ostatnim razie, gdyby ją odszukał, i ona go także kochała, to mogą ślub wziąć za dyspensą.

Tak sobie te rzeczy wytłumaczywszy, ujął poczciwy paroch Stasia za rękę i posadził obok siebie na ławeczce.

Chwilę trwało milczenie — ksiądz był w kłopocie jak tu zacząć? Lecz Staś, widać, że już był przygotowanym — musiał zrozumieć kłopot parocha, którego jako człowiek poczciwy, prosty człowiek, pokryć nie potrafił.

— Mów jegomość—mów, księże proboszczu—jestem przekonany, że mi coś ważnego masz powiedzieć. Uważałem, żeś się jegomość już kilka razy zabierał do tego—lecz zawsze wstrzymywał jakiś powód...

— Tak jest mój Stasiu! masz słuszność... wstrzymywał mnie powód i to ważny.

— O wyjaw go księże proboszczu!

— Muszę cię się naprzód spytać, czy ty wierzysz w moją przyjaźń. Czy wierzysz, że choć jestem biedny, podzielę się z tobą ostatnim kawałkiem chleba, którego ci pewnie nigdy nie żałowałem...

Staś zamiast odpowiedzi, rzucił się do nóg proboszcza, i... płacząc, całował jego ręce i kolana.

— Więc słuchaj Stasiu—mówił paroch— ty musisz się ze mną rozłączyć na czas krótki— to rozłączenie jest konieczne— ty pojedziesz do Lwowa, ty musisz zobaczyć, co się z Marynią dzieje? To jest wola ojca twojego.

Staś zapłakał płaczem radości:

— Ojcze drogi! — mówił, całując parocha po rękach—toć ja tego pragnąłem; alem ci nie śmiał powiedzieć, żebyś nie pomyślał mój dobroczyńco, żem ja niewdzięcznik, że się chcę wyrwać od ciebie, że mi tu źle....

Tak zeszło jeszcze z półtory godziny na rozmowie. Paroch poinformował jeszcze Stasia co do podróży, opatrzył go listem do swojego szkolnego przyjaciela.

Pomodliwszy się na grobie ojca, ułożył się Staś do spoczynku. Gdy słońce dość wysoko było na niebie, paroch obudził go ze złotych marzeń z oświadczeniem, że już wózek czeka na niego. Opatrzony skromnym datkiem pieniężnym i błogosławieństwem czcigodnego parocha, usiadł Staś na wózku.

— Szczęść ci Boże! mój synu..— mówił proboszcz ze łzami w oczach, robiąc krzyż w powietrzu za odjeżdżającym.

I patrzył staruszek za skromnym zaprzęgiem, dopóki mu nie zniknął za górą.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Aby od przyjętego nie odstąpić zwyczaju, dajemy zwykłe nasze o teatrze sprawozdanie, które wszakże tym razem jak najkrócej piszemy, bo w rzeczy samej nie wiele da się powiedzieć o odegranych tego tygodnia... doskonale znanych sztukach.

Wiśliczanki, choć to sztuka odwieczna i dobrze znana, robią zawsze miłe wrażenie, bo miło zaprawdę sercu polskiemu słyszeć odgłos dawnej sławy i dawnych dziejów, i wielkie postacie historyczne widzieć przesuwające się niejako przed oczami naszemi. Ze wszystkich tych postaci wielkich ludzi, najcharakterystyczniej wyglądał p. Benda, jako Mickiewicz. Niektórzy za to z bohatyrów i królów nader smutno i z wielkiem prezentowali się zaniedbaniem. Zauważaliśmy przytem, że opinia publiczna umie się mścić z pewnym sprytem w danym razie. I tak się tu trafiło, że poczciwe dziady musieli pokutować za wnuków mniej godnych. Gdy Potocki przechodził (niewiem który; zapewne Rewera), krakowska publiczność witająca z zapałem ludowego Czarneckiego, zamilkła najzupełniej, a nawet powtarzanem sykaniem objawiła zdanie swoje. Pomiędzy obrazami najlepiej udałym był nagrobek Poniatowskiego.

O *Młodzie Kasztelańskim* rozpisaliśmy się już pierwej dość szeroko. Powtarzamy, że przedstawienie tej komedyi w Krakowie doskonale wypada. Trzebaby prawdziwie wszystkich niemal grających pochwalić. P. *Królikowski* gra konfederata wesołego z humorem i żywością niepospolitą. Rola *Sołoduchy* jest najlepszą rolą p. *Delchau*. Pna *Biedrońska* młodą wdówkę oddała z tą szczerą naturalnością, która dla tego właśnie tak silne w tej artystce robi wrażenie, że nie grająca artystkę widzimy, ale uosobioną prawdę tego uczucia czy wrażenia, jakie ma oddać. Panna *Safir* grała wdówkę zalotną wcale dobrze, a mianowicie ładnie wyglądała. Strzedz się wszakże powinna w ogóle, by jej zalotność uszlachetniona niejako wymaganiami estetycznemi nie wyglądała tak domowo, tak zakulisowo. Dodamy jeszcze uwagę, za którą niechaj się nie gniewa, bo jest szczera, że przy ubieraniu się należy mieć pewne względy, by nie przesadzać zbytniem wygorsowaniem. Nie trzeba przesady, choćby w rzeczach najpiękniejszych. W ubraniu kobiety pewne obsłonienie jest właśnie jej najpiękniejszym wdziękiem. Pna *Germann* grałaby nie źle swoją rolkę, gdyby nie pewna szorstkość w mowie i ruchach trochę za śmiała.

Majątek albo Imie należy do sztuk, które już zaczynają potężnie nudzić. Jest to zbiór komunałów, morałów na zdawkową monetę przemienionych, i kazań o tomach bez liku. Ale należy niezaprzeczenie do sztuk tu lepiej odgrywanych. By szczerą powiedzieć prawdę, najdoskonalej obsadzona jest rola *Starej Sędziny*. P. *Krajewska* w niej talent swój różnostronny, umie objawić w całej pełni. Gra z całą prawdą i życia i artyzmu prawdziwą staruszkę-polkę; matronę, jakich mieliśmy dawniej tyle a mamy coraz mniej. Typ ten umie schwytać artystka po mistrzowsku. O pannie *Biedrońskiej*, w roli *Basi* nic więcej powiedzieć nie możemy, nad to, cośmy już dawniej powiedzieli w tej samej roli. Takie role poczciwe, polskie, serdeczne, to są jej role, bo artystka ma w swej piersi tę serdeczną naiwność i uczucie polskiej dziewczyny Te słowa, któremi potępia wyrodnych synów, co obce przenoszą nad swoje, wymówiła artystka z tak żywą prawdą, że mimowolnie porwała za sobą całą publiczność. P. *Królikowski* w roli *hrabiego* podnosi — i można powiedzieć, poprawia nawet charakter przez autora zakreślony, bo ją uszlachetnia niejako elegancyą form, i mniej wybitnie odznaczając tej roli pospolite śmieszności. Zdaje się, że artysta sam sobie tworzy typ własny, na podstawie myśli autora. Pna *Safir* rolę Anieli oddała w niektórych częściach z pojęciem roli, lecz byłaby znacznie lepiej grała, gdyby się była mogła dobrze wysłowić, ale wiersze nie szły jej jakoś. Trzeba jeszcze podnieść grę p. *Wolskiego* zdradzającą zawsze dobre roli zrozumienie. i p. *Bendy* grę wcale okrągłą.

Wiadomości literackie.

Wyszedł tom drugi *Biblioteki Ossolińskich*, pisma historyi, literaturze, umiejętnościom i rzeczom narodowym poświęconego. Lwów, w drukarni Zakładu narodowego Im. Ossolińskich. 1863. (8vo str. n. l. 2. l. 463. Są tutaj artykuły przystępne dla płci pięknej, mianowicie: 1) *Hieronim i Elżbieta Radziejowscy*, opowiadanie historyczne (doskonałe) przez Karola Szajnochę. 2) *Wacław Potocki i jego Argenida...* przez Ludwika Nabielaka. 3) Z poematu Karola Balińskiego pod napisem: *Męczeństwo Zbawiciela*.

Smutna i arcysmutna okoliczność, że pismo takie, jak Biblioteka Ossolińskich, ma tylko 59 prenumerujących, których tutaj wymieniamy: Lipiński Alexander na exemplarz *jeden*, Milikowski Jan (księgarz) na exemp. *szesnaście*, Pawlikowski Mieczysław na exemp. *jeden*, Pietruska Wanda na exemp. *jeden*, Rulikowski Edward na ex. *jeden*, hr. Stadnicki Edward na ex. *jeden*, hr. Stadnicki Kazimierz na ex. *jeden*, Torosiewicz (zapewne uczony chemik-aptekarz we Lwowie) na ex. *jeden*, Tustanowski Juliusz na ex. *jeden*, Wild Karol (księgarz, najczynniejszy we Lwowie w swoim ważnym zawodzie) na exemplarzy *trzydzieści pięć*, hr. Załuski Józef (jenerał wojsk polskich) na ex. *jeden*. Cześć Prenumerującym na Bibliotekę Ossolińskich, poważnie, sumiennie, więc pożytecznie redagowaną! — Cześć im, bo przecież pojęli myśl zacną założyciela księgozbioru i popierają tę zacną myśl.

Wyszły w Krakowie 1863 r. nakładem księgarza (nowego) J. M. Himmelblaua, w drukarni Czasu: *Wieczory pod Lipą czyli Historya Narodu Polskiego*, przez Lucyana Siemieńskiego, zasłużonego tłumacza rękopisu królodworskiego. (Wydanie nowe, przejrzane i powiększone). 8vo str. l. 430, n. l. 16. Autor przy końcu swojej przedmowy umieszcza następujące słowa: « Przejęty najgorętszą chęcią napisania użytecznej historyi Narodu naszego, nie wiem, czyli godnie odpowiedział (em) tej potrzebie. Należy to do sądu czytelnika; najlepszym zaś sędzią będzie obojętny lub zbawienny skutek, jaki z czytania tej książki wyniknie. »

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza.